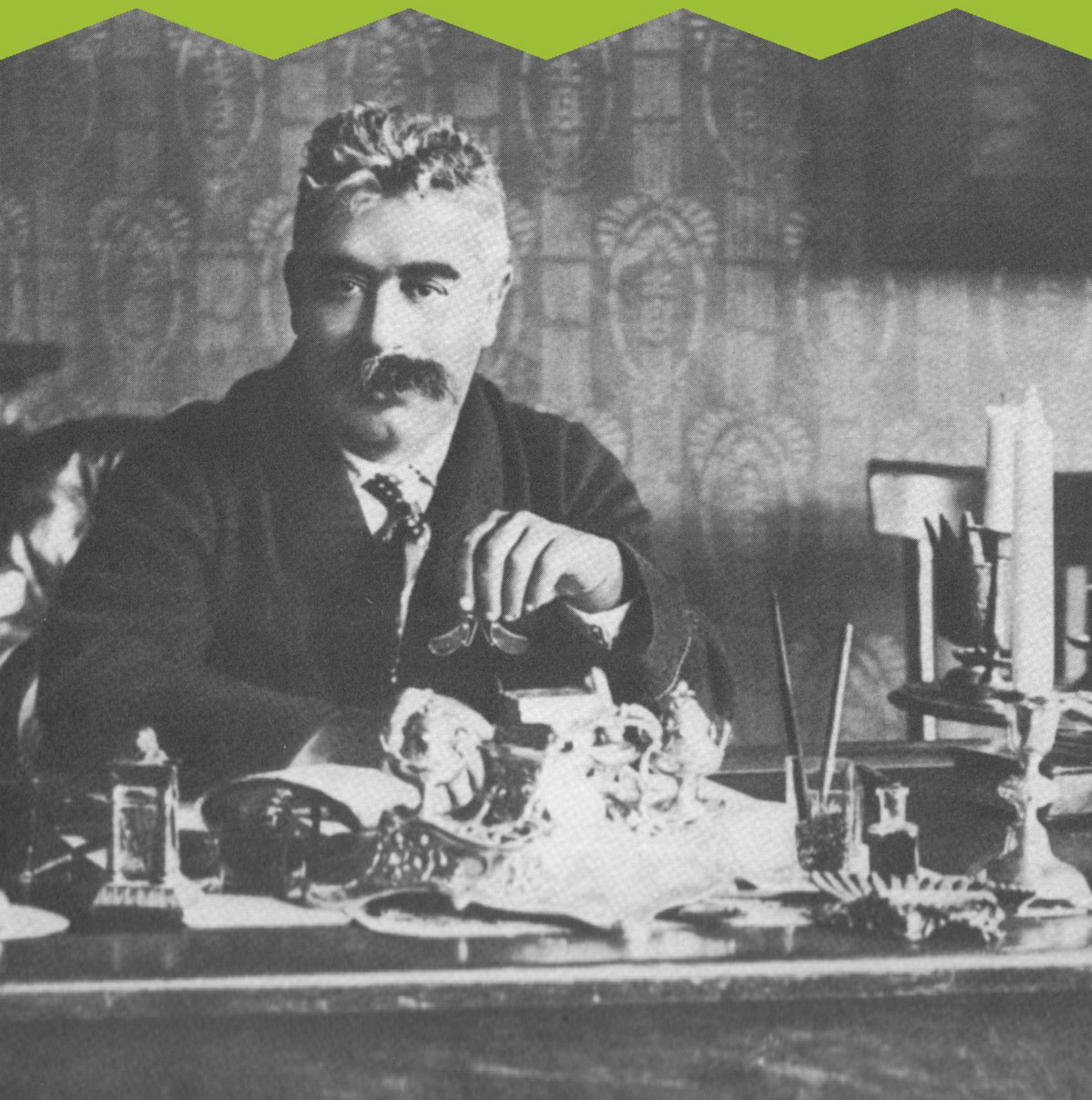


Postanienie



ICCHOK LEJB PEREC

OPOWIADANIA CHASYDZKIE I LUDOWE

Posłaniec

TŁUM. MICHAŁ FRIEDMAN

Idzie drogą posłaniec, a wiatr rozwiewa poły jego płaszcza i rozwichrza włosy jego brody. Raz po raz chwytą się prawą ręką za lewy bok. Coś go tam kłuje, ale nie chce się do tego przyznać. Każdemu powiada, że ręką sprawdza zawartość kieszeni za pazuchą.

Ma jedno życzenie i jedną obawę:

— Żebym tylko nie stracił kontraktu i nie zgubił powierzonych mi pieniędzy. A jeśli nawet coś tam w boku mnie kłuje, to głupstwa! Jeszcze, chwała Bogu, mam dość sił, żeby wypełnić zadanie posłańca. Inni w moim wieku nie ujdą nawet jednej wiorsty bez odpoczynku, ale ja, dzięki Bogu, jeszcze nie muszę zwracać się o pomoc do gminy. Sam zarabiam na swój kawałek chleba. Ludzie, chwalić Boga, nie boją się powierzyć mi swoich pieniędzy.

I snując dalej swoje myśli, stwierdza:

— Gdybym ja posiadał na własność te pieniądze, które ludzie mnie powierzają, żebym je zaniósł do ich klientów, to bym w wieku osiemdziesięciu lat nie pracował już jako posłaniec. Ale skoro Bóg tak chce, to niech się stanie Jego wola.

Tymczasem zaczął padać śnieg. Coraz grubsze płatki śniegu spadały na ziemię.

— Zostało mi jeszcze — pomyślał — około pół mili do celu. Pół mili dla mnie to bagatela! Żadna tam dla mnie odległość! Jest już bliżej niż dalej.

Obraca się i stwierdza, że nie widać już miejskiego zegara, ani kościoła, ani wojskowych koszar. Pełen więc animuszu wykrzykuje do siebie:

— Szmario, weź nogi za pas i jazda!

I słucha swego rozkazu i dalej zasuwa po mokrym śniegu. Stare nogi grzęzną w błotnistych zaspach. Z trudem wyciąga je z nich. Chwała Bogu — powiada — że nie ma silnego wiatru.

U niego silny wiatr graniczył z wichurą. W rzeczywistości wiatr na drodze był dostatecznie silny. Z dużą siłą wiał mu prosto w twarz. Wiał tak, że zapierał dech. Wykradał z jego starych oczu wszystkie łzy. I w oczach go coś kłuło. Jakby szpilkami. Zresztą z oczami miał od dawna kłopoty.

Za pierwsze zarobione pieniądze planował kupić ochronne okulary na drogę. Takie duże okulary całkowicie zasłaniające oczy przed wiatrem i śniegiem.

Idzie naprzód, nie przestając rozmyślać:

— Gdyby Bóg zechciał, to bym już zarobił te pieniądze i kupił sobie okulary. Wystarczyłoby otrzymać codziennie jakieś polecenie od kupców, żeby zanieść ich klientom w innych miejscowościach kontrakty i pieniądze. Odległość nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia. Chodzić to jeszcze, chwała Bogu, potrafię. Za zaoszczędzone pieniądze kupiłbym sobie te okulary.

Jest coraz zimniej. Zapewne przydałby mu się jakiś kożuszek. Lżej by było piersiom oddychać. Na razie zaś ma tylko ciepłą kapotę. Byłaby jeszcze całkiem dobra, gdyby się tylko nie darła i nie strzępiła. I na wspomnienie przebiega mu po twarzy uśmiech zadowolenia. To nie dzisiejsza kapota. Żadna tam tandeta. Nie rozsypuje się jak pajęczyna. To kapota uszyta z dawnego dobrego satynowego materiału. Jeszcze jego przeżyje. A to, że nie ma wycięcia z tyłu, to jej zaleta dodatkowa.

— Kożuszek — kombinuje w myślach — jest właściwie lepszy od kapoty. Kożuszek grzeje. Nawet bardzo dobrze grzeje. Ale najpierw musi mieć okulary. Kożuszek jest po-

trzebny na zimę, okulary zaś zawsze są potrzebne. Nawet latem. Gdy wiatr zawieje, kurz leci do oczu. A kurz w oczach jest gorszy od chłodu zimy.

A więc najpierw okulary, a potem dopiero kozuch. Oby tylko Bóg pomógł mu odebrać pszenicę. Wtedy zarobi jakieś cztery złote, za które kupi okulary.

Człapie więc dalej po drodze i mokry śnieg bije go po twarzy. A wiatr coraz bardziej się wzmaga i w boku coraz boleśniej go kłuje.

— Gdyby tylko wiatr zechciał zmienić kierunek — życzy sobie z całego serca. Ale widocznie tak powinno być. W drodze powrotnej będzie miał wiatr z tyłu. Wtedy lepiej się będzie szło. A więc wszystko w porządku.

Lżej mu się zrobiło na sercu.

Za chwilę jednak musiał przystanąć. Zabrakło mu tchu. To go trochę zaniepokoiło:

— Co się ze mną stało? Mało to mrozów i wiatrów przeżyłem? Byłem przecież kantonistą¹.

I przypomina mu się służba wojskowa odbyta za czasów Mikołaja². Trwała dwadzieścia pięć lat. Służył w dalekich garnizonach. Zawsze pod karabinem. Dosyć w życiu się namaszerował. Przemierzył góry i doliny. Na mrozie i w śniegu. Nierzadko podczas śnieżnych zawiei. I co to były za śniegi i mrozy! Drzewa pękały od takich mrozów. Często zdarzało się, że lecące w powietrzu ptaki nagle spadały martwe na ziemię. Ale żołnierz rosyjski maszerował żywo i żywo, i do tego jeszcze śpiewał piosenki, i nogami przytupywał.

Sama myśl, że udało mu się przetrzymać ciężką dwudziestopięcioletnią służbę wojskową i związane z nią kłopoty, zmartwienia i ciosy, że nie dał się śniegom, mrozom i zawiejom, że nie ugiął się pod ciężarem głodu, pragnienia, biedy i zdrowy powrócił do domu, dodała mu teraz sił.

Poczuł się nawet przez to wywyższony. Z dumnie podniesioną głową ruszył dziarskim krokiem naprzód.

— Co taki mróz może dla mnie znaczyć? W Rosji były mrozy co się zowie!

Śmiało więc idzie dalej. Wiatr nawet trochę się uspokoił. Ale robi się coraz ciemniej. Powoli nadciąga noc.

— Cóż to za krótki dzień?

I mówiąc to, przyśpiesza kroku. Nie chce, żeby noc dopadła go po drodze. Nie na próżno uczęszcza w soboty do synagogi, żeby słuchać słów *Tory*³. A ona powiada, że wychodzić w drogę i wracać z niej należy, póki jest widno.

Kiszki zaczynają mu marsza grać. Jest głodny. Ma już taką naturę, że kiedy odczuwa głód, ogarnia go radość. Wie, że apetyt to dobra rzecz. Kupcy, którzy posługują się nim jako posłańcem, skarżą się, że nie poznali smaku głodu i nie mają apetytu. On, dzięki Bogu, ma apetyt! Nie ma go tylko wtedy, kiedy jest chory. I właśnie wczoraj poczuł się chory i chleb wydał mu się kwaśny.

I jeszcze jaki kwaśny! Żołnierski chleb! Kiedyś może był kwaśny, ale dzisiaj? Fonia piecze dzisiaj taki chleb, że wszyscy żydowscy piekarze mogą się przed nim schować. I chleb, który kupił, był całkiem świeży. Samo krojenie go napawało rozkoszą. Ale sam Szmara był niezdrów. Chłód przenikał go do szpiku kości.

Niech będzie jednak pochwalony Ten, którego imienia nie godzien jest wymienić.

Rzadko bowiem Szmara chorował.

Teraz też odczuwa apetyt. W kieszeni ma pajdę chleba i kawałek sera... Ser dała mu na drogę żona kupca, oby była zdrowa i długo żyła. Gdyby tak nie przeklinała, to by z niej była całkiem porządna kobieta.

W tym miejscu przypomniał sobie zmarłą żonę.

— Moja żona, Szprynca — pomyślał — też miała dobre serce i też lubiła kłąć. Za każdym razem kiedy wyprawiałem w świat syna lub córkę, płakała jak bóbr, ale kiedy byli

¹kantonista — Żyd przymusowo wzięty w wieku młodzieńczym do carskiego wojska, w którym służył dwadzieścia pięć lat. [przypis tłumacza]

²za czasów Mikołaja — tzn. za cara Mikołaja I Romanowa, który panował w Cesarstwie Rosyjskim w latach 1825–1855. [przypis edytorski]

³Tora — Pięcioksiąg; pierwsze pięć ksiąg *Starego Testamentu*, zwanych też księgami Mojżeszowymi, podstawą ich jest tzw. prawo Mojżeszowe (stąd też inne użycie słowa, utożsamiające *Torę* i Prawo); *Pięcioksiąg* opisuje, jak powstało prawo mojżeszowe, ilustruje wydarzeniami historycznymi lub uważanymi za historyczne jego genezę i rozwój. [przypis edytorski]

jeszcze w domu, to nie żałowała im przekleństw. Nie powiem już, co się działo, kiedy jedno z dzieci umarło. Biła głową o ścianę. Rzuciła się na podłogę i ryczała. Pewnego razu nawet chciała rzucić kamieniem w niebo.

— Pomyślałby ktoś, że Pan Bóg przejmie się płaczem jakiejś głupiej baby...

A ona — pamiętam — nie pozwoliła tragarzom z Bractwa Pogrzebowego wynieść trumny ze zmarłym dzieckiem. Wyrwała im włosy z bród. Pobiła nawet kobiety, które chciały ją od tego powstrzymać.

— Niech mi wybaczy, że tak ją wspominam. Muszę jednak przyznać, że była w istocie dobrą kobietą. Nawet mnie kochała, aczkolwiek nigdy nie usłyszałem od niej dobrego słowa. Ciągle krzyczała, że chce się ze mną rozwieść. Inaczej ucieknie. Prawdę mówiąc, nigdy nie chciała rozwodu.

I nagle jeszcze coś sobie przypomina i uśmiecha się...

To, co sobie przypomina, wydarzyło się dawno, dawno temu. Wtedy istniało jeszcze przedsiębiorstwo towarów spożywczych, tak zwana konsumpcja. On był tam nocnym stróżem. Obchodził skład z laską w ręku i pilnował, żeby złodzieje nie dobrali się do wódki.

Służbę wartowniczą znał doskonale. Przeszedł u Ruskich dobrą szkołę. Nauczycieli miał znakomitych. Właśnie była zima i o świcie miał przekazać wartę dziennemu zmiennikowi, Chaimowi-Jojne. Tenże Chaim-Jojne jest już na tamtym świecie. Sam, do kości przemarznięty, udaje się do domu. Puka do drzwi i zaraz dobiega go krzyk leżącej jeszcze w łóżku żony:

— Idź do diabła. A niech cię szlag trafi!

„Aha — domyśla się — od wczoraj jeszcze jest wściekła”. Ale, dalibóg, nie może sobie przypomnieć, o co jej chodziło. Coś jednak musiało być!

— Zamknij się — odpowiada jej takim samym krzykiem — i wpuść mnie do domu.

— A niech cię piorun trzaśnie — odpowiada Szprynca.

Postał trochę pod drzwiami, po czym wpadło mu do głowy pójść do *beit-hamidrasz*⁴ i pospać tam trochę. Położył się na ławce za piecem. Na jego nieszczęście piec dymił i Szmario zaczął się. Prawie martwego zaniecono go do domu.

Wtedy Szprynca pokazała, na co ją stać. Poruszyła niebo i ziemię, żeby przywrócić go do życia. Kiedy wróciła mu przytomność, dowiedział się dokładnie, co Szprynca wyczyniała. Kiedy ludzie jej tłumaczyli, że to nic groźnego, że to tylko czad, Szprynca się na nich obruszyła i kazała natychmiast sprowadzić doktora. Jeśli tego nie uczynią, ona nie wytrzyma i zemdleje. Bez przerwy krzyczała: „Mój mąż! Mój mąż! Mój skarb!”.

Wtedy Szmario zebrał siły, podniósł się z łóżka, usiadł i zapytał ją:

— Szprynco, chcesz rozwodu?

— A niech cię... — i nie dokończywszy zdania, rozbeczała się, po czym zapytała: — Szmario, jak myślisz? Czy Bóg ukarze mnie za to, że przeklinam, czy za to, że jestem sekutnicą?

I jak tylko wyzdrowiał, Szprynca, jakby nigdy nic, wróciła do dawnej formy. Ostry języzek znowu puściła w ruch. Z ust znowu zaczęły się sypać przekleństwa. Wydaje się, że mocna była jak żelazo. A drapać potrafiła jak kot. I, w końcu, szkoda Szprynco! Nawet nie dożyła pociechy z naszych dzieci.

Co zaś do dzieci, to chyba powodzi im się dobrze. Tak jak dobrze powodzi się rzemieślnikom na świecie. Kto posiada fach w ręku, ten z głodu nie umrze. Ponadto są silni. Wdali się we mnie. A to, że nie piszą, to co? Sami pisać nie potrafią. I jak tu prosić kogoś obcego, żeby za nich pisał? I jaki smak posiadać może taki list? Jak piąta woda po kisielu. Poza tym czas robi swoje. Dzieci zapominają o rodzicach.

Ale chyba dobrze się mają. *MUSOWO!*

Niestety, Szprynca leży już w grobie.

Szkoda Szprynco!

⁴*beit hamidrasz* (także: *bet ha-midrasz*, *bet midrasz*, *besmedresz*) — dosł. dom nauki; pomieszczenie przeznaczone do studiów talmudycznych dla chłopców i dorosłych mężczyzn, zaopatrzone w bibliotekę, z której każdy mógł w dowolnym czasie, wedle własnych potrzeb i zainteresowań korzystać; także miejsce modlitw (była w nim arka na *Torę*) oraz noclegownia; była to bardzo ważna instytucja, szczególnie w XVII i XVIII w., gdy jeshiwy podupadły. [przypis edytorski]

Kiedy konsumpcja się skończyła, Szprynca odczuła to boleśnie. Zanim oswoiłem się z pracą posłańca i zanim przyzwyczałem się zwracać do dziedziców per „Jaśnie Panie”, a nie jak dawniej przez *wasze wysokoblągorodje*⁵, i nim kupcy zaczęli mnie wysyłać z kontraktami, w domu naszym brakowało chleba. Mniejsza o mnie. Ja, mężczyzna, były kantonista, mogłem przeżyć dzień bez jedzenia. Ona nie mogła i nie umiała tego przeżyć. Głupia baba! Od razu straciła siły. Nawet przeklinać nie była w stanie. Cały zasób wulgarnych słów nagle wyparował jej z głowy. Umiała tylko płakać.

Obrzydło mi to wszystko. Odechciało mi się żyć. Ona tymczasem zaczęła się o mnie bać. Bała się sama jeść, bo a nuż nie starczy dla mnie. Widząc, że ona się boi, sam nabrałem odwagi. Ja zacząłem podnosić głos! Ja zacząłem kląć! Podchodzę do niej, na przykład, i krzyczę: „Dlaczego nie żresz?”. Czasem nawet wpadam w taką złość, że chce mi się ją bić. Ale jak tu bić płaczącą kobietę? W dodatku zastygła w bezruchu. Stoję już przed nią z pięścią gotową do uderzenia, a ona spokojnie powiada do mnie: „Przedtem zjedz ty, a potem ja”. Co miałem zrobić? Odgryzłem kawałek chleba i resztę dałem jej.

Pewnego dnia, używając podstępny, wyprawiła mnie z domu, mówiąc: „Bądź spokojny, jutro będę jadła, ale ty rozejrzyj się za pracą. Może coś zarobisz?”.

Wracam do domu i zauważam, że nawet nie tknęła chleba. Tłumaczy mi, że nie może jeść suchego chleba. Wołałaby kaszkę.

I jaki raban podniosła, kiedy chciałem zastawić sobotnią kapotę! W mig zerwała się z miejsca i pobiegła zastawić swoje mosiężne lichtarze. Do samej już śmierci błogosławiła świece wstawione w wydrążone kartofle. Tuż przed śmiercią wyznała mi, że nigdy nie chciała się ze mną rozwieść. Krzyczała o rozwodzie tylko dlatego, że miała — jak powiedziała — niewyparzony język.

— Ach, ten mój paskudny język — zawołała — Boże, wybacz mi!

I umierając bała się, że na tamtym świecie powieszają ją za język.

— Bóg — powiedziała do mnie — nie będzie miał litości nade mną. Za dużo nagrzeszyłam. Ty zaś, kiedy tam przyjdiesz, ale, uchwaj Bóg, żeby to miało nastąpić wkrótce, niech to się stanie po stu dwudziestu latach⁶, pamiętaj o jednym! Masz mnie zdjąć z szubienicy! I powiedz tam Najwyższemu Sędziemu, że mi wybaczyłeś.

Po wypowiedzeniu tych słów pomieszało się jej w głowie. Zaczęła wzywać dzieci. Wydawało jej się, że są w domu, że rozmawia z nimi. Je także prosiła o wybaczenie.

Głupia kobieta! Kto by nie zechciał jej wybaczyć?

Ile, myślicie, miała lat, kiedy umarła? Może pięćdziesiąt. Była jeszcze młoda. Najgorsze, że sama skróciła sobie życie. Jak się wynosi z domu i zostawia rzecz, do której człowiek był przywiązany, to jakby się wyniosło pół zdrowia, część własnego ciała...

Z dnia na dzień chudła w oczach. Zieleniała i żółkła. Mówiła, że czuje wyraźnie, jak w kościach wysycha jej szpik. Zdawała sobie sprawę, że wkrótce umrze.

I jak przywiązana była do domu! Jak kochała go razem ze wszystkimi znajdującymi się w nim rzeczami! Kiedy trzeba było wynieść z domu stoliczek lub blaszany świecznik, czy cokolwiek, to każdy grat oblewała gorzkimi łzami. Z każdą wyniesioną z domu rzeczą żegnała się jak matka z dzieckiem. Obejmowała ją i prawie że obcałowywała. Któregoś dnia powiada do mnie:

— Kiedy umrę, już nie zostaniesz w domu.

No cóż! Baba zawsze pozostaje głupia! Potrafi przez chwilę być kozakiem w spódnicy, by zaraz potem z byle powodu zachować się jak dziecko. W obliczu śmierci jakie znaczenie może mieć stoliczek czy inny jakiś grat?

— Tfu, — przerywa na chwilę ogarniające go myśli. — Co za wspomnienia przychodzą mi do głowy? Z ich to powodu chodzę teraz coraz wolniej.

I dodając sobie kurażu⁷ komenderuje:

— Ano, nogi moje żołnierskie, nieście mnie dalej!

Rozgląda się dookoła. Wszędzie śnieg. Nad sobą widzi szare niebo załatane czarnymi szmatami.

⁵*wasze wysokoblągorodje* (ros.) — tytuł grzecznościowy: *wasza wielmożność*. [przypis edytorski]

⁶*niech to się stanie po stu dwudziestu latach* — według *Biblii* (Rdz 6, 3), Bóg ustalił limit ludzkiego życia na 120 lat. [przypis edytorski]

⁷*kuraż* (z fr.) — odwaga. [przypis edytorski]

— Tylko moja spodnia kapota ma na sobie satynowe łąty! Panie świata! Czy Ty także nie masz kredytu w sklepie?

Tymczasem mróz przybiera na sile. Jego broda i wąsy pokrywają się szronem. Ciało jeszcze się trzyma. Głowa jeszcze ciepła. Krople potu błyszczą na czole. Tylko nogi coraz bardziej marzną i coraz bardziej słabną.

Już niedaleko — pociesza się. Odczuwa chęć zatrzymania się na chwilowy odpoczynek, ale wstydzi się przed samym sobą. Pierwszy raz zdarzyło mu się, żeby na drodze liczącej nie więcej niż dwie wiorsty odczuł potrzebę odpocznienia. Nie chce się przyznać, że stuknęła mu już osiemdziesiątka. Już najwyższy czas, żeby zrobić przerwę w marszu.

Odrzuca tę myśl. Nie! Musi iść dalej. Musi iść i iść, bo póki idzie, to nogi niosą. Jeśli ulegnie pokusie Jecer hara⁸ i usiądzie, to koniec. Nie wstanie już!

Chcąc wyperswadować sobie myśl o odpoczynku, zaczyna straszyć siebie groźbą przeziębienia.

— Do wsi już nie jest daleko — mówi do siebie. Tam będę miał dosyć czasu na odpoczynek. Tam zaznam prawdziwego odpocznienia. Od razu nie pójdę do dziedzica. U niego trzeba co najmniej godzinę przeczekać na dworze. Od razu udam się do Żyda.

I snując dalej myśl, powiada w duchu:

— Dobrze chociaż, że nie boję się psów dziedzica. W nocy jednak, kiedy spuszcza ją z łańcucha Burka, może być niebezpiecznie. Wprawdzie mam w kieszeni chleb z serem i Burek lubi ser, to jednak lepiej będzie, jeśli przedtem dam odpocząć moim nogom. Najpierw więc wstąpię do domu Żyda trochę się ogrzać, umyć i coś przekąsić.

Ślina pojawia mu się w ustach. Od samego rana nic nie jadł. Dla niego to drobnostka. Nie przejmuje się tym, że jest głodny. Przeciwnie, odczuwa nawet z tego powodu pewnego rodzaju przyjemność. Skoro jest się głodnym, to znaczy, że się żyje! Gdyby nie te nogi!

Przed sobą ma jeszcze tylko dwie wiorsty.

Już widać z daleka dużą szopę dziedzica... ale nogi tego nie wiedzą. Im właśnie teraz zachciało się odpocząć!

— Ale popatrzmy — powiada do siebie — na to z drugiej strony. Co się stanie, jeśli sobie trochę odpocznę? Nie na długo. Na minutkę czy nawet mniej. Tylko na próbę! Przez wiele lat nogi były mi posłuszne, niech więc ja choć raz będę im posłuszny.

I Szmario siada sobie na śnieżnym pagórku. Teraz wyraźnie słyszy, jak serce się w nim łomocze. Czuje klucie w boku. Pot oblewa mu czoło.

Ogarnia go strach... Czy aby nie dopadła go choroba? Ma przy sobie cudze pieniądze. Jeszcze, nie daj Bóg, zemdleje! Zaraz się jednak pociesza: „Chwała Bogu, nikogo na drodze nie ma”. I nawet jeśli ktoś nadejdzie, z pewnością nie przyjdzie mu do głowy, że on, Szmario, ma przy sobie forszę. Takemu jak on, pozał się Boże, nikt chyba nie powierzyłby pieniędzy. „Dobrze, posiedzę sobie — postanawia — chwileczkę, a potem, zasuwał Szmario, do przodu”.

Powieki stają się ciężkie jak ołów. Spadają mu na oczy.

— Nie! — woła do siebie. — Wstań, Szmario! — Mówi to rozkazującym tonem, a rozkazywać jeszcze potrafi. Gorzej z wykonaniem rozkazu. Usiłuje wstać, ale nie może się ruszyć z miejsca. Wydaje mu się jednak, że wstał i maszeruje coraz mocniejszym krokiem...

Oto widzi już wszystkie chaty we wsi. W tej mieszka Antek, w tamtej Bazyli. Zna ich wszystkich. Wynajmuje u nich furmanki... Do chaty Żyda jest jeszcze daleko, ale woli u niego się zatrzymać. Czasem bowiem można u niego natrafić na *mezuman*⁹.

Wyobraża sobie, że idzie w kierunku chaty Żyda, ale im bardziej się zbliża, tym dalej chata się od niego odsuwa. Widocznie — myśli sobie — jednak dobrze idę, bo już widzę przez czerwieniejące okienko radosny płomień buchający z kuchni. Żona Jojny, gruba Mirl, zapewne gotuje kartofle. Zawsze częstuje go gorącym kartoflem, a gorący kartofel to prawdziwa przyjemność. I wydaje mu się, że zbliża się do chaty Żyda, ale naprawdę siedzi wciąż na tym samym śnieżnym pagórku. Mróz trochę zelżał. Duże, gęste płatki śniegu padają na ziemię i przykrywają Szmarię.

⁸Jecer hara — instynkt zły; wg tradycji żydowskiej w każdym człowieku tkwią dwa instynkty: dobry i zły. [przypis tłumacza]

⁹mezuman — błogosławieństwo po spożyciu posiłku; potrzebni są do niego trzej Żydzi. [przypis tłumacza]

Jemu widocznie zrobiło się ciepłej pod śnieżną kapotą. Teraz wydaje mu się, że jest już w chacie Żyda. Mirl odcedza właśnie wodę z kartofli. Słyszy, jak woda się leje. Ciur, ciur, ciur. Z jego kapoty też leje się woda. Jojne chodzi po izbie i śpiewa pod nosem. Zawsze po wieczornej modlitwie podśpiewuje sobie, bo przed wieczerzą jest zazwyczaj głodny. Dlatego śpiewa i w przerwach woła do żony:

— Nu, Mirl!

Ale Mirl się nie śpieszy. Co nagle, to po diable!

Raptem Szmaria jakby się przeraził z radości:

— Czy ja śpię i śni mi się sen? — Oto bowiem otwierają się drzwi i wchodzi jego starszy syn. Toż to Chone! Od razu go poznał. Co on tu robi? Ale Chone ojca nie poznaje. Udaje, że nie ma pojęcia, kim Szmaria jest. Cha, cha, cha! Opowiada Jojne, że jedzie w odwiedziny do ojca. Zapewnia go, że zapomniał o ojcu. A bękart Jojne nie mówi mu, że ojciec siedzi na ławce w izbie. Mirl ma ręce pełne roboty. Krząta się przy kartoflach. Uśmiechając się, ubija drewnianą łyżką kartofle.

— Chone — myśli Szmaria — musi być bogaty. Bardzo bogaty! Wszystko na nim jest całe i czyste. Może tylko łańcuszek od zegarka jest z tombaku? Ależ nie! Na pewno jest złoty. Chone nie będzie przecież nosił łańcuszka z tombaku. Cha, cha, cha! Rzuca okiem w stronę pieca i omal nie pęka ze śmiechu. To przecież Jekl, Berl i Zeharia. Wszyscy trzej, cha, cha, cha, schowali się za piecem. Jak złodzieje! Ale szkoda Szpryncy. Żal Szpryncy. Szkoda że nie zdążyła zobaczyć Chonego. Miałaby pociechę. Tymczasem Chone zamawia dwie gęsi... Chone! Chone! nie poznajesz mnie? To ja, twój ojciec. I wydaje mu się, że całuje się z synem.

— Słuchaj, Chone! Szkoda, że matka nie może ciebie zobaczyć. Jekl, Berl, Zeharia złaźcie z pieca! Od razu was poznałem. Zejdźcie, wiedziałem, że przyjdziecie. Dlatego przyniosłem ser. Prawdziwy owczy ser. Dzieci, chodźcie tu. Lubicie przecież żołnierski chleb. Co, może nie? Szkoda, wiecie, matki!

I wydaje mu się, że czwórka jego dzieci otoczyła go kołem i gorąco go ściskają i obcałowują.

— Tylko pomału, dziecięta moje! Nie ściskajcie mnie tak mocno. Nie jestem już młodzieńcem. Mam tę swoją osiemdziesiątkę. Wolniej! Połamiecie mi jeszcze kości. Pomału. Mam w kieszeni pieniądze. Mają do mnie zaufanie. Powierzają mi pieniądze. Wystarczy, dzieci, wystarczy.

I wystarczyło. Szmaria zamarzył na kość z ręką w kieszeni za pazuchą.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest udostępniony na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa - Na Tych Samych Warunkach 3.0.PL.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/perec-opowiadania-chasydzkie-i-ludowe-poslaniec>

Tekst opracowany na podstawie: Icchok Lejbusz Perec, Opowiadania chasydzkie i inne, tłum. Michał Friedman, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1997.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z książki udostępnionej przez Fundację im. Michała Friedmana. Dofinansowano ze środków Programu Archiwistyka Społeczna Narodowego Instytutu Audiowizualnego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Wojciech Kotwica.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.